

Temat tygodnia

- 12 Marcin Piątek
Euro 2016: minimalistyczne mistrzostwa

Rozmowa Polityki

- 14 **Donald Tusk**, przewodniczący Rady Europejskiej, o Unii z Brexitem i Polsce z PiS

Polityka

- 19 Jacek Żakowski
Dłatego wygrywają populiści
- 22 Joanna Solska
Emerytura pod pisowskimi palmami
- 25 Anna Dąbrowska
Kamil Zaradkiewicz: męczennik trybunalski

Społeczeństwo

- 28 Agnieszka Sowa
Pokolenie Piotrusiów Panów
- 31 Rozmowa z prof. **Wojciechem Łukowskim**, socjologiem, o polskiej emigracji i prowincji
- 34 Joanna Gierak-Onoszko
Przemysł: polsko-ukraińska gorączka
- 36 Piotr Pytlakowski
Walka z wiatrakami
- 38 Edyta Gietka
Modliszka z Wągrowca

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Czy czeka nas blackout
- 43 Rozmowa z **Ireną Herbst** o tym, jak państwo powinno pomagać w zdobyciu mieszkania

Świat

- 46 Tomasz Zalewski USA
Konwencje z niespodziankami
- 49 Paulina Wilk
Usypywanie nowych łądów
- 52 Rozmowa z **Sewerynem Ozdowskim** o tym, jak Australia, najbardziej różnorodny kraj świata, radzi sobie z przybyszami
- 54 Marek Rybarczyk
WIELKA BRYTANIA Tabloidy wygrywają wybory



19

Słuchajcie populistów!



28

Faceci jak dzieci



49

Ziemie odzyskane



100

Alicja w krainie garów

Historia

- 56 Prof. **Karol Modzelewski** o prof. Aleksandrze Gieysztorze w jego setną rocznicę urodzin
- 59 Ernest Kowalczyk
Hiszpańska wojna domowa

Nauka

- 62 Agnieszka Krzemińska
Dzieła z brązu
- 65 Historyk filozofii politycznej prof. **Arno Münster** o tym, że nacjonalizm i rosnące nierówności sprzyjają poczuciu bezsilności
- 68 Paweł Walewski
Wstrząs anafilaktyczny – wakacyjna przestroga

Kultura

- 74 Michał Klimko
Hipsterkatolicy
- 78 **Håkan Nesser** o rynku kryminałów, nacjonalizmie i zachwycie nad „Idą”
- 80 KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 82 Marcin Zwierchowski
Haker w kulturze
- 85 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- Ludzie i style**
- 86 Marta Wróbel
Miksologia stosowana
- 90 Jan M. Długosz
Triera znów wypłynęła
- Na własne oczy**
- 100 Elżbieta Turlej
fotografie Grzegorz Klatka
Hostessą być

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 70 Afisz
- 94 Passent • 96 Stomma • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji • 99 Fusy, plusy i minusy • 106 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Matka Boska wszystkich Polaków

Wciąż nie wiadomo, jakim rokiem będzie zbliżający się rok 2017, gdyż polski parlament nie nadał mu jeszcze odpowiedniej nazwy. Senatorowie PiS są za tym, aby dla uczczenia 300. rocznicy koronacji obrazu Matki Boskiej Jasno-górskiej drogocennymi koronami nazwać go rokiem Koronacji Matki Bożej Częstochowskiej Królowej Korony Polskiej. Nazwa taka z miejsca nadałaby przyszłemu rokowi wysoką rangę i potwierdziłaby wielkie nadzieje Polaków związane z tym rokiem. Byłaby również, jak piszą w uzasadnieniu senatorowie, „wkładem w propagowanie patriotycznej i religijnej tradycji Rzeczypospolitej” oraz „lekcją polskiego dziedzictwa i argumentem edukacyjnym dla młodego pokolenia”. I to – trzeba przyznać – argumentem trudnym do odparcia.

Senator Ryszka z PiS twierdzi, że nazwanie przyszłego roku rokiem Koronacji Matki Bożej Częstochowskiej Królowej Korony Polskiej byłoby także jasnym świadectwem, że Jasna Góra jest duchową stolicą Polski, „i jednoczy ona nie tylko wiaryzących, ale też niewierzących”. Ryszka nie wyjaśnia, dlaczego Jasna Góra jednoczy niewierzących i w jaki sposób jednoczy, ale moim zdaniem najważniejsze, że jednoczy. Sprawa jednoczenia Polaków, którzy są dziś głęboko podzieleni, to kwestia



fundamentalna, dlatego jeśli pojawia się okazja do zjednoczenia wiaryzących z niewierzącymi poprzez Jasną Górę i nazwanie roku 2017 rokiem Koronacji Matki Bożej Częstochowskiej Królowej Korony Polskiej, to nie ma się co zastanawiać, tylko trzeba się jednoczyć.

Otym, do czego prowadzi marginalizowanie Matki Boskiej, wszyscy wiemy. „Po powstaniu suwerennej Polski 26 lat temu nie powierzono nowej wolności Maryi – Królowej Polski” – przypomina Ryszka. Był to błąd, za który Polska płaci do dzisiaj, bo gdyby do zawierzenia doszło, pewnie jakimś cudem udałoby się uniknąć rządów postkomunistów, koalicji PO-PSL, a szkodnik Balcerowicz musiałby odejść (do piekła), zanim w ogóle by przyszedł. No i prezes Kaczyński mógłby zbawić Polskę dawno temu, a nie dopiero teraz, gdy jest ona w ruinie.

Zaproponowana przez senatorów PiS nazwa przyszłego roku może zbawienie Polski przyspieszyć. Pierwsze oznaki przyspieszenia już widać, mam na myśli rosnącą rolę proboszczów w życiu społeczno-politycznym kraju. W prasie czytam, że niektórzy z nich osobiście wzięli się za ochronę życia poczętego poprzez sprawdzanie, czy w leżących na ich terenie szpitalach dokonuje się aborcji (jeśli tak, karą jest odbieranie tym szpitalom ich katolickich nazw).

Ale wiadomo, że źle dzieje się nie tylko w szpitalach, dlatego z niecierpliwością czekamy na wzmożone kontrole proboszczów w szkołach, przedszkolach, urzędach i innych instytucjach, którym można by za karę coś odebrać.



**Wspieramy
naszych
w Polsce.**

Yared Shegumo

reprezentant Polski

w maratonie

na IO w Rio de Janeiro

#DZIEJESIEWPOLSCIE

Wszystko, co ważne, dzieje się w Polsce. Wirtualnej Polsce.



Szczyt i wstyd



Jerzy Baczyński

Czasami publicyści mają szczęście znaleźć frazę, która staje się znakiem czasu, przechodzi do języka polityki i historii. Takie: „4 czerwca skończył się w Polsce komunizm”, „Wasz prezydent, nasz premier”, „Coś pękło, coś się skończyło”, „Polityka ciepłej wody w kranie” – było tego trochę. I oto jest nowa fraza, właśnie wymyślona przez znanego i aktywnego autora, socjologa, współpracownika m.in. POLITYKI. Odkąd się pojawiła na firmowym blogu autora, idzie jak burza przez internet. Ma już tysiące komentarzy i linków. Jest cytowana i omawiana na najpoważniejszych i najbardziej popularnych portalach, od Onetu po Gazetę.pl. Musiała trafić bezbłędnie w jakąś powszechną myśl, intuicję, emocję, nadając jej werbalną formę. Zaraz ją przywołam, ale niezbędne jest jeszcze małe wyjaśnienie.

Otóż, fraza ta urodziła się autorowi podczas warszawskiego szczytu NATO, na marginesie wspólnej konferencji prasowej prezydentów Obamy i Dudy. Tak, to ta konferencja, podczas której prezydent Stanów Zjednoczonych „wyraził troskę” (gazety anglojęzyczne używają określeń mocniejszych, bliższych naszemu „besztaniu” czy „reprimendzie”) z powodu naruszeń przez nową władzę zasad i wartości zachodniej demokracji. Prezydent Obama doprecyzował, że chodzi o „rządy prawa, niezależne sądy i wolne media”, a zwłaszcza o „sytuację wokół Trybunału Konstytucyjnego”. Obserwując w TV sposobność prezydenta Rzeczypospolitej, którego na scenę publiczną wypchnął ukryty gdzieś Jarosław Kaczyński, krytyk polityczny Sławomir Sierakowski napisał to jedno historyczne zdanie: „K**wa, jaki wstyd!”. W oryginalnym tekście nie było gwiazdek, ale my zostaliśmy przy wersji soft.

Bo tak: merytorycznie warszawski szczyt NATO nawet się udał, bo i nie mogło być inaczej. Był zresztą przygotowywany przez zawodowych dyplomatów i wojskowych ponad dwa lata. Organizacja tego „eventu” została przyznana Polsce wskutek zabiegów prezydenta Komorowskiego i dzięki osobistemu poparciu Obamy podczas jego spektakularnej wizyty w Polsce w 2014 r. Prawie 40 premierów i prezydentów zachodniego świata przyjechało i wyjechało z Warszawy bez żadnych incydentów. Kurtuazyjnie dziękowali, ale nad szczytem wisiała chmura politycznej żenady. Faktyczna głowa państwa, czyli Jarosław Kaczyński, na szczyście się nie pojawił, nie spotkał z żadnym z wpływowych gości (ani oni z nim),

nie uczestniczył w przyjęciach, nie wygłosił toastu ani powitania. Gospodarz domu schował się przed zaproszonymi gośćmi, wysyłając majordomusa.

Amosfera była zwarzona, bo amerykańscy i europejscy przybysze doskonale zdawali sobie sprawę, że przybywają do innego kraju, niż zostali zaproszeni. Że w Polsce trwa lub już się dokonała rozprawa z mediami publicznymi, blokowany jest sąd konstytucyjny, atakowani sędziowie, że nowa władza kompletnie ignoruje opozycję, a także opinie Komisji Europejskiej i Rady Europy, czego przykład dała w przeddzień szczytu, uchwalając kolejną, prowokacyjną ustawę wymierzoną w TK (czytaj s. 8). Dyplomaci towarzyszący swoim szefom dawali do zrozumienia, że „miejscowe władze” miały być traktowane z chłodnym dystansem, bez kordialności, osobnych pogawędek, sympatycznych gestów. A już „szczytem szczytu” były, wygłoszone przed całym światem, Obamowe połajanki wobec formalnych gospodarzy spotkania.

Polacy, zwłaszcza o orientacji niepisowskiej, mieli w dniach zjazdu warszawskiego liczne dodatkowe powody do zażenowania. Kuriozum, ale jednak o randze międzynarodowego skandalu politycznego, była wystawa o polskiej drodze do NATO, pomijająca Wałęsę, Geremka, Kwaśniewskiego, Millera i wielu innych prawdziwych uczestników tego procesu, a eksponująca, w myśl nowej polityki historycznej, środowisko Jarosława Kaczyńskiego. Ten sam kompleks drugorzędności co zawsze? Rozdawanie uczestnikom szczytu ulotek „Zabili nam Prezydenta” to już tylko dodatek. Trzeba też było słuchać rzeczników nowej władzy (zwłaszcza w TVP), jak brnęli w wyjaśnienia dotyczące ustawy i wystawy, uwag Obamy czy aluzji Tuska. Wykręcanie znaczenia słów i wypowiedzi, ich pomijanie i przekłamywanie, błazeńskie mizdrzenie (polecam do odsłuchania rozmowę Żakowskiego z Beatą Kempą w TOK FM), wreszcie osobiste wykręcanie kota ogonem przez samego prezesa, że Obamie chodziło o to, aby Trybunał Konstytucyjny nie łamał prawa, i on się z tym zgadza.

Wkrótce w POLITYCE zamieścimy rozmowę z prof. Waldemarem Kuligowskim, autorem pojęcia „pedagogika bezwstydu”, dość dobrze opisującego postawy ludzi nowej władzy. W tym numerze mamy bardzo ciekawy tekst o populizmie, zwracający uwagę, że nieodłączną cechą tej politycznej taktyki jest lekceważenie tzw. elit, własnych i obcych, różnych ekspertów, mądrali i pouczycieli. Adresatem populizmu jest zawsze Dumny Ignorant, który „już nigdy nie powinien się za siebie wstydzić”. Formacje takie jak PiS zmieniają więc normy, standardy przyzwoitości, a przede wszystkim poprzez odwołanie do Wielkiej Idei (obojętnie jakiej) dostarczają narzędzi racjonalizacji doznanego wstydu. Jeśli mówią o mnie źle, to dlatego, że nie rozumieją, nie doceniają, są wrogami Idei, boją się siebie, zostali zmanipulowani, sami są gorsi i obcy, więc tak czy owak się unieważniają. Populiści po to wprowadzają do polityki kryteria moralne (my, dobro – oni, zło), by ten zabieg skutecznie niszczył możliwość realnego dialogu i kompromisu, tworzył „dumną wspólnotę bezwstydu”, nieprzenikalną dla nikogo z zewnątrz. Wołanie „K**wa, jaki wstyd!” tylko odbija się od murów pustym echem. Wciąż jeszcze.

Jan Koza



© JAN KOZA



Nowy układ warszawski

Przywódcy NATO urządzili przyjęcie w tej samej sali w Warszawie, w której w 1955 r. ZSRR podpisywał z satelitami Układ Warszawski.

Dziś Polska jest nie tylko członkiem NATO (od 1999 r.), ale doczekała się wojsk sojuszników na swoim terytorium. Batalion to obecność zaledwie symboliczna, ale symbol ten jest ważny. Stanowi dla Rosji dowód prawdziwego zaangażowania w obronę Polski na wypadek, gdyby zaszła taka potrzeba. Atak na nasz kraj staje się od pierwszego dnia konfliktem z całym sojuszem, a nie dopiero problemem telefonów i konferencji dyplomatycznych: co się właściwie stało? Jak zareagować? – jak to było we wrześniu 1939 r.

Oczywiście to figura hipotetyczna. Żaden poważny analityk wojskowy nie uważa napaści Rosji na Polskę za prawdopodobną, zresztą 4 bataliony czy dodatkowa brygada nie wystarczą do odparcia prawie milionowej armii rosyjskiej. – *Ale po raz pierwszy do psychiki i wyobraźni oficerów krajów zachodnich dociera: mamy swoich żołnierzy aż w Estonii czy na Litwie. Musimy myśleć o ich zaopatrzeniu, rotacji, ciągłym współdziałaniu z władzami lokalnymi. Dotąd oficerowie nie myśleli w takich kategoriach, dlatego owa wysunięta obecność to miłowy krok dla całego sojuszu* – mówi nam wysoki rangą wojskowy, który zastrzegł sobie anonimowość.

Poza tym cały szczyt NATO trzymał się zasady 360 stopni, to znaczy gotowości do odparcia rozmaitych zagrożeń, skądkolwiek miałyby nadejść. W komunikacie końcowym na pierwszym miejscu – przed Rosją – stoi terroryzm. Co do Rosji zaś przyjmuje politykę 3D: *defence, deterrence, dialogue* – czyli obrona, odstraszanie, dialog. To formuła elastyczna, ma swoje zalety, ale ma i wady. Po raz pierwszy od lat 90. sojusz mówi twardo o odstraszaniu, ale pozwala

także, na przykład Francji, na zupełnie inne rozkładanie akcentów.

Prezydent Hollande w Warszawie zaczął konferencję o „zagrożeniach” z Południa, terroryzmie itd., a potem tylko o „napięciach” z Rosją. A we francuskich kołach dyplomatycznych mówi się, że trzeba szukać prawnomiędzynarodowych rozwiązań aneksji Krymu. Dotychczas Wielka Brytania zachowywała stanowczą postawę wobec Rosji, ale Londyn wpłatał się na miesiące, może lata, w niebywały bałagan i nie będzie odgrywał w europejskiej polityce bezpieczeństwa pierwszych skrzypiec. Czy tę rolę przejmą Niemcy? Pani kanclerz Merkel w Warszawie usunęła się na dalszy plan, nie zorganizowała nawet konferencji prasowej. Ale część analityków twierdzi, że w Niemczech już nastąpiła zmiana postawy: Niemcy wezmą na siebie większą część przywództwa, ba, wysyłają batalion na Litwę, pod same wąsy niedźwiedzia.

Putin w Finlandii na parę dni przed szczytem wygłosił tradycyjną tyradę antyzachodnią o rozpychaniu się NATO, tarczy antyrakietowej wymierzonej w Rosję i podżeganiu do obalania legalnych rządów metodą kolorowych rewolucji. Ale też niespodziewanie zaznaczył, że jest zainteresowany obniżeniem napięcia i przyjmuje natowską propozycję, by rosyjskie samoloty nad Bałtykiem włączyły transpondery (do rozpoznawania), aby uniknąć incydentów w powietrzu. Obniżenie napięcia bardzo by się przydało, lecz nie ma co popadać w naiwność. Zobaczymy, jakim językiem Rosja przemówi w tym tygodniu na pierwszym od aneksji Krymu posiedzeniu Rady NATO-Rosja w Brukseli. Ze wspomnianej triady 3D – najmniej przychodzi, niestety,

wierzyć w owocny dialog, choć trzeba docenić, że NATO nie obraca się do Rosji tyłem.

Tak jak w polityce – co rzuca się w oczy po Brexicie – coraz mniejszą rolę odgrywają twarde fakty, a coraz większą emocje, tak i w sprawach obronności ogromną rolę odgrywa wojna propagandowa i postawa społeczeństw. Rosja nie szczędzi środków na antyzachodnią i antypolską propagandę. Społeczeństwo rosyjskie – w badaniach – wskazuje na Polaków jako potencjalnie większych nieprzyjaciół niż Chińczycy. Wpływowi rosyjscy generałowie – Frołow, Iwaszow – publicznie pomstują na NATO jako na agresora i wroga. Zachód nie reaguje, w myśl eleganckiej formuły, że „NATO nie ma wrogów”. Ale kto wie, czy reagować już nie trzeba?

Zwiększenie bezpieczeństwa Polski to jedyny dziś punkt zgody między rządem i opozycją. Z ważnym wyjątkiem – oceny praworządności. Prezydent Obama publicznie krytykując pisowską politykę naruszania praworządności, zwrócił uwagę na powiązanie bezpieczeństwa z polityką wewnętrzną. Funkcjonuje taka doktryna w USA (doktryna Weinbergera, spadek po wojnie wietnamskiej): wszelką amerykańską interwencję musi popierać amerykańska opinia publiczna. Jeśli PiS do szczętu zniszczy reputację Polski – a czytamy amerykańskie komentarze prasowe! – to w razie jakiegoś incydentu takiemu na przykład prezydentowi Trumpowi (z jego niewyparzonego językiem i agresywną nonszalancją) łatwo będzie kraj nasz ośmieszać i lekceważyć. Wtedy ani 3D, ani 4 bataliony nie zdadzą się na wiele.

MAREK OSTROWSKI

Jest ustawa, jest zabawa



Marek Ostrowski

Mamy czarny scenariusz dla Trybunału Konstytucyjnego. Nawet bez pozorów debaty parlamentarnej, z pospiesznym wyłączeniem mikrofonów opozycji w Sejmie – zdyscyplinowany PiS uchwali wkrótce nową, już trzecią, ustawę tzw. naprawczą, regulującą działanie Trybunału Konstytucyjnego. Przeszła już przez Sejm, czeka na Senat. Będzie jawnie sprzeczna z konstytucją. Skąd wiemy? Bo powtarza rozwiązania już zaskarżane przez najwyższe organy i gremia prawnicze w Polsce, a nawet osądzone jako niekonstytucyjne w wyroku z 9 marca 2016 r. przez sam Trybunał i ocenione jako sprzeczne z demokratycznym prawem przez Komisję Wenecką. Tu i ówdzie PiS zmienia szczegóły, ale drwi sobie z krajowych i zagranicznych autorytetów prawniczych.

Komisja Wenecka w swojej opinii podkreśliła, że opublikowanie wspomnianego wyroku i jego poszanowanie przez władze jest warunkiem koniecznym do znalezienia wyjścia z tego kryzysu. PiS nie tylko nie szanuje tego wyroku, ale w przegłosowanej właśnie ustawie dodaje nowe środki paraliżowania kontroli konstytucyjności ustaw: czterech sędziów może wstrzymać rozstrzygnięcie każdej sprawy, bieg procesu może wstrzymać nieobecność prokuratora generalnego (a wiemy, co prokurator i minister w jednej osobie o Trybunale myśli). Taka ustawa to nie tylko kuriozum w skali światowej, ale i dowód arogancji władzy. Sekretarz generalny Rady Europy

Thorbjørn Jagland już zwrócił się do Komisji Weneckiej o pilną ocenę ustawy. Zaaapelował do Sejmu i Senatu, by wstrzymały się z ostatecznym jej zaklepaniem i rozważyły opinię Komisji Weneckiej.

Ustawa przewiduje 30-dniowe *vacatio legis*. Trybunał Konstytucyjny może jeszcze przed wejściem ustawy w życie orzec jej niezgodność z konstytucją. Rzecznik praw obywatelskich, Krajowa Rada Sądownictwa czy partie polityczne powinny szybko ustawę zaskarżyć: pisanie uzasadnienia nie będzie trudne, gdyż większa część pisowskich pomysłów była już poprzednio rozpatrzona i zdyskwalifikowana. Trybunał jest zresztą związany swoim własnym orzeczeniem wydanym w pełnym składzie.

Nawet jeśli nowe orzeczenie szybko zapadnie, to praworządności w Polsce niewiele pomoże. PiS zapewne zignoruje wyrok, tłumacząc – tak jak dotychczas – że Trybunał działał w niewłaściwym składzie albo na podstawie niewłaściwych przepisów. Niewiele się więc zmieni, może niektóre wyroki zostaną opublikowane, bo tak przewiduje ustawa. Niby to postęp, ale partia rządząca w Polsce nie wstydzi się publicznie odwracać demokratycznego porządku: u nas to rząd, a nie sąd decyduje, który wyrok jest ważny, a który nie, a zwykłą ustawą można zmienić i konstytucję.

Po co więc PiS przepycha w ekspresowym tempie nowe ustawy, mimo że robią jedno i to samo – paraliżują Trybunał? Bo gra na dwóch fortepianach: w praktyce znosi kontrolę konstytucjonalności prawa, może sobie stanowić takie przepisy, jakie mu się podobają. Dla kamuflażu odgrywa zaś usypiającą melodyjkę: sprawy są w toku, poszukujemy rozwiązań demokratycznych, obradujemy w parlamencie itd. Ta mała gra nie przekonuje ani świata prawniczego w Polsce, ani naszych sojuszników, czego wyraz dał prezydent Obama w Warszawie. Ale przekonuje zwolenników PiS i to wystarczy. Dojedziemy tak do końca kadencji prezesa Rzeplińskiego i wybierze się nowego prezesa, który powoła takie składy, jak trzeba. A jak to się nie uda? Może sięgnie po wariant europejski PiS Janusza Wojciechowskiego, który już postulował, by do Trybunału wkroczyła policja. Ciemne czasy.

Bezkosztowy audyt rządowy

Ministrowie rządu Beaty Szydło odpowiedzieli na interpelację poselską w sprawie sposobu i kosztów przygotowania audytu rządów PO-PSL. Potwierdził się propagandowy charakter akcji.

Ministrowie przyznali wreszcie, ile kosztował i kto przygotował tzw. audyty rządów PO-PSL, przedstawiane w Sejmie w połowie maja przez ponad 10 godzin. Informacje te znaleźliśmy w odpowiedzi na poselskie interpelacje. Odpowiedziały już wszystkie ministerstwa, poza ministrami skarbu oraz obrony narodowej. Prawie we wszystkich ministerstwach dokumenty opracowali pracownicy „w ramach realizacji obowiązków służbowych i bez zaangażowania zewnętrznych podmiotów”. Krzysztof Tchórzewski od energii napisał, że „audyt został przygotowany bezkosztowo (...) w związku z bieżącą działalnością komórek organizacyjnych ministerstwa”.

Okazuje się, że tylko w dwóch resortach na tzw. audyt wydano dodatkowe pieniądze. W Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zaangażowano na podstawie umów-zleceń trzech ministerialnych audytorów, którzy otrzymali po ok. 5 tys. zł. W resorcie kultury, jak przyznał minister Piotr Gliński, wykorzystano wyniki badania audytowego, który przygotowała dla resortu Fundacja Republikańska za 137 tys. zł. Natomiast w resortach: rolnictwa, środowiska, gospodarki morskiej, sportu, w prac nad audytem zaangażowani byli sami ministrowie, ich zastępcy oraz członkowie gabinetów politycznych ministrów. Tak przynajmniej twierdzą, co w sumie jeszcze mocniej podważa wiarygodność wystąpień, bo jakie

kompetencje do przygotowania audytu ma politycznie zaangażowany minister? Koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński przyznaje zaś, że jego część przygotowali funkcjonariusze służb specjalnych, ale ich personalia podlegają ochronie i nie może podać ich nazwisk.

Ministrowie przyznali także, że nie ma żadnych oficjalnych wersji „audytów”. Wicepremier Piotr Gliński informuje, że „pisemną formę [audytu] stanowi stenogram z posiedzenia Sejmu”, Jan Dziedziczak, wiceminister spraw zagranicznych, że „materiały dotyczące raportu były przekazywane na roboczo jako wkład do dokumentu” (cokolwiek to znaczy), a Jerzy Materna, sekretarz stanu w Ministerstwie Gospodarki Morskiej, że „przedmiotowe wystąpienie odbyło się w obecności środków masowego przekazu, umożliwiającymi opinii publicznej szeroki dostęp do referowanych informacji, w tym także do ich późniejszego, ponownego odtwarzania”. I taki to był audyt. (DĄB.)

Morawiecki nieznany

Co piąty ankietowany deklaruje, że nie słyszał o planie Morawieckiego. Co piąty chciałby zjeść obiad z premier Szydło.

Mateusz Morawiecki jest największą nadzieją Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS przekazuje mu kolejne narzędzia polityki gospodarczej i czyni bohaterem przemówień. Na ostatnim kongresie powiedział, że obecnie „całość spraw to plan Morawieckiego”. Oznajmił też, że wicepremier ma zaprowadzić w Polsce nowy ład gospodarczy i zastąpić nim porządek zaprowadzony przez „szkodnika” Leszka Balcerowicza. Wcześniej podkreślał, że plan Morawieckiego jest najważniejszym elementem budowy IV RP. Na zlecenie POLITYKI INSIGHT pracownia Danae zbadała, na ile Polacy podzielają przekonania prezesa.

Okazuje się, że zaledwie 6 proc. badanych uważa, że Morawiecki najlepiej pokierowałby polską gospodarką. Nieco lepiej wypadli Marek Belka i Leszek Balcerowicz (po 9 proc.), ale wszystkich zdeklasowała Beata Szydło, którą wskazał prawie co czwarty ankietowany! Nawet elektorat PiS nie podzielił zdania Kaczyńskiego i w zdecydowanej większości wskazał panią premier (62 proc.), a zaledwie co siódmy wybrał Morawieckiego. Mimo pogłosek o możliwym awansie Morawieckiego na funkcję premiera, w oczach Polaków wypada on znacznie gorzej niż Szydło – tylko 14 proc. uważa, że to on najlepiej pokierowałby rządem, a obecna szefowa gabinetu ma ponaddwukrotnie lepszy wynik.



Szeroko reklamowany plan Morawieckiego też nie budzi w Polakach entuzjazmu. Niemal trzy czwarte ankietowanych o nim nie słyszało lub nie ma o nim zdania. W opinii 20 proc. program nie pomoże polskiej gospodarce. Tylko co dziesiąty badany widzi w nim szansę.

Polacy nie potrafią też określić, jakie są relacje wicepremiera z partią. Morawiecki w marcu wstąpił do PiS i jest wskazywany jako jej potencjalny wiceprezes. Polacy nie są pewni, czy minister rozwoju jest ważnym czy jedynie szeregowym działaczem partii – na obie opcje wskazuje po 20 proc. badanych, a co dziesiąty uważa go za bezpartyjnego fachowca. Połowa ankietowanych nie umie powiedzieć nic na jego temat. Wicepremier nie budzi też w badanych nadmiernej sympatii – tylko 6 proc. uznało, że miałoby ochotę zjeść z nim obiad. Podobnie jak w poprzednich kwestiach znacznie lepiej wypadła tutaj Szydło (22 proc.). Niewiele bardziej atrakcyjni jako współbiesiadnicy od Morawieckiego okazali się Belka i Balcerowicz.

Morawiecki po ośmiu miesiącach rządów PiS nie zdążył zjednać sobie Polaków. Dla Kaczyńskiego może to być argument, by nie oddawać mu fotela premiera. Zresztą rządowy awans Morawieckiego i tak został ostatnio podany w wątpliwość, bo sam Kaczyński powiedział, że nie zamierza wiecznie trwać na pozycji niedającej mu żadnej formalnej władzy.

JS/PI

Okręt bez dna

Stocznia Marynarki Wojennej tonie. Wraz z nią obietnice ministra Macierewicza, który zapewniał, że udało mu się uratować zakład.

Atmosfera w Stoczni Marynarki Wojennej jest przygnębiająca, bo zakład dryfuje już od prawie pięciu lat, ale tak źle jeszcze nie było. – *Od zeszłego roku w zasadzie nie udało się nam złapać żadnych zamówień na remonty, dzięki którym przynajmniej jakoś wegetowaliśmy* – mówi jeden z pracowników stoczni. Pracownicy wypowiadają się anonimowo, bo w firmie wprowadzono zakaz kontaktu z mediami. Nawet Magdalena Smółka, syndyk masy upadłościowej, nie udziela informacji i kontaktuje się jedynie za pośrednictwem rzecznika sądu. Z uzyskanych tą drogą informacji wynika, że firma ma ponad 8 mln zł długu ZUS i ponad 250 tys. zł innych niespłaconych zobowiązań. Po pięciu latach

funkcjonowania w ramach upadłości takie problemy nie robią już na załodze wrażenia. – *Teraz sytuacja się skomplikowała, bo wojsko zaczęło tak konstruować zapisy przetargowe, że jako zakład w upadłości nie możemy w nich ani samodzielnie startować, ani nawet starać się o podwykonawstwo* – dodaje pracownik stoczni. To w zasadzie oznacza ekonomiczny wyrok śmierci dla SMW. Zakład ma asa w rękawie, a raczej w doku, w postaci patrolowca „Ślązak”. Budowana od 15 lat jednostka typu korweta pomimo dwóch wodowań ciągle nie osiągnęła stanu pozwalającego na włączenie jej do służby. Według obecnie obowiązującej umowy okręt miał być ukończony w listopadzie tego roku. Ale wiadomo, że termin jest już nierealny. Stocznia sugeruje, że potrzebuje jeszcze niemal dwóch dodatkowych lat.

Wart już grubo ponad 500 mln zł projekt czyni z MON zakładnika stoczni. Istnieje bowiem obawa, że roszczenia dłużników mogłyby zostać rozciągnięte również na tę konstrukcję. Bez sensownego programu naprawczego budowa „Ślązaka”

będzie skarbonką bez dna. Już dziś wojsko twierdzi, że nie da się oszacować ostatecznych kosztów tego okrętu.

Wmaju minister Antoni Macierewicz triumfalnie poinformował w Sejmie, że w wyniku jego wysiłków SMW została uratowana. Ten medialny sukces nie przełożył się na efekty. Syndyk twierdzi, że pomimo zapowiedzi ministra nie zna założeń żadnego programu naprawczego dla upadającej stoczni. Wygląda na to, że program naprawczy ministra Macierewicza sprowadzi się do tego, że podatnik dołoży więcej pieniędzy.

Pomysłem na uratowanie SMW byłoby przejęcie jej przez Polską Grupę Zbrojeniową i włączenie w program odbudowy polskiej Marynarki Wojennej. Tyle że MON od niemal roku blokuje wszystkie programy modernizacyjne. A PGZ nie pali się do przejścia bankruta i ciężkiej pracy nad postawieniem zakładu na nogi. Na szczęście podatnik wydaje się mało dociekliwy i bardzo cierpliw. JULL



© GETTY

Teraz Rio **Liczba rozbojów na ulicach miasta jest najwyższa od ponad dekady. Sportowców mają obronić żołnierze.**

Nadchodzące igrzyska olimpijskie w Rio de Janeiro (5–21 sierpnia) będą gorące, ale bynajmniej nie z powodu temperatury (jest tam teraz środek zimy). Lokalne media informują, że liczba rozbojów na ulicach miasta jest najwyższa od ponad dekady, ofiarami bandytów padli nawet przygotowujący się już na miejscu do startów reprezentanci Hiszpanii oraz Australii, w pobliżu niektórych obiektów sportowych regularnie dochodzi do strzelaniny pomiędzy gangami i służbami mundurowymi, a Rivaldo (dawna gwiazda piłkarskiej reprezentacji, obecnie poseł) publicznie odradza obcokrajowcom przyjazd na imprezę. Turystów na lokalnym lotnisku witała zresztą niedawno delegacja miejscowych policjantów z transparentem „Witajcie w piekle”, funkcjonariusze skarżą się na złe wyposażenie i brak wypłat na czas.

Władze Rio obiecują, że igrzyska będą jednak bezpieczne, w czym ma pomóc kilkanaście tysięcy żołnierzy oraz pożyczka 895 mln dol. od rządu federalnego. Z tą ostatnią jest jednak ten problem, że po zawodach nie bardzo będzie z czego spłacić, bo stan Rio postawił swego czasu na zyski z ropy naftowej, a potem okazało się, że jej ceny zaczęły mocno spadać. Jak widać, sport nie zawsze wychodzi tylko na zdrowie.

Testowane na Kanadzie

Komisja Europejska zapaliła zielone światło dla umowy gospodarczo-handlowej UE-Kanada, w skrócie nazywanej CETA. Jeśli porozumienie wejdzie w życie, to kraje unijne i Kanada uzyskają wzajemny dostęp do swoich rynków. Znikną cła na produkty przemysłowe i ponad 90 proc. barier na produkty rolne. Zostanie zliberalizowany handel usługami i otwarty rynek zamówień publicznych. Powstaną też zasady, które po obu stronach ułatwią uznawanie kwalifikacji zawodowych oraz nowy system rozstrzygania sporów między państwem a inwestorami. A firmy uzyskają możliwość łatwiejszego delegowania swoich pracowników do Kanady i z tego kraju do UE. Handlowo na umowie skorzysta bardziej Kanada, ponieważ jej gospodarka jest oparta na eksporcie, ale dla Unii CETA ważniejsza będzie politycznie, ponieważ byłby to sygnał, że skostniała Europa jest gotowa na liberalizację handlu transatlantyckiego. Umowa jest więc testem śledzonym uważnie za Oceanem przez Amerykanów, którzy od lat negocjują



© GETTY

podobny dokument handlowy z Unią nazywany TTIP. Rozmowy na razie utknęły. A CETA, żeby wejść w życie, czeka już tylko na ratyfikację przez parlamenty narodowe 28 krajów członkowskich Unii i 10 kanadyjskich prowincji. Rząd Kanady i Komisja Europejska wszystko w sprawie CETA już ustaliły, ale po Brexicie Komisja zdecydowała, że umowa powinna być mieszana, unijno-międzypaństwowa, tak żeby niczego nie narzucać państwom członkowskim i pokazać, że ważne i przynoszące konsekwencje dla wszystkich decyzje nie są podejmowane tylko w Brukseli.

Jednak przy obecnych antyunijnych nastrojach, emocjach, jakie w krajach Unii wzbudzają podobne umowy handlowe, i braku wiedzy na temat wynegocjowanych wcześniej szczegółów, zamiast wielkiego współdecydowania szykuje się raczej wielka klęska.

Kara za Irak

Raport o brytyjskiej inwazji na Irak może postawić premiera pod sąd

W samo centrum brytyjskiej polityki powrócił **Tony Blair**, ale chyba nie w taki sposób, jak by chciał. 6 lipca John Chilcot opublikował parlamentarny raport o udziale Wielkiej Brytanii w inwazji na Irak w 2003 r. Stwierdza, że domniemane zagrożenie bronią masowego rażenia – koronny powód obalenia Saddama Husajna – nie miało podstaw, a wojsko brytyjskie było kompletnie nieprzygotowane. Chilcot, który przez 7 lat stał na czele specjalnej komisji, przyznał, że podstawy prawne inwazji były „dalece niesatisfakcjonujące”, ale w raporcie nie pada słowo „nielegalne”.

Innego zdania są dawni przeciwnicy inwazji. John Prescott, wicepremier za czasów Blaira, przyznał, że jego szef oszukał parlament w sprawie inwazji. Podobnie uważa część konserwatystów, niemal wszyscy posłowie ze Szkocji i obecny lider laburzystów Jeremy Corbyn. Parlament, który prawdopodobnie zbierze się na specjalnej sesji



© REUTERS/FORUM

w sprawie Iraku jeszcze przed wakacjami (21 lipca), może m.in. pozbawić Blaira członkostwa w tzw. Tajnej Radzie przy królowej, ale niektórzy posłowie domagają się procesu sądowego dla byłego premiera. Szczególnie, że wojna domowa, która wybuchła w Iraku po amerykańsko-brytyjskiej inwazji, wciąż trwa. W zeszłym tygodniu wyładowana materiałami wybuchowymi ciężarówka eksplodowała przed wejściem do zatłoczonego centrum handlowego w Bagdadzie. Według ministerstwa zdrowia śmierć poniosły 292 osoby, co oznacza, że był to najkrwawszy atak od 2003 r. Ofiary to głównie szyci, a odpowiedzialność wzięli na siebie sunnici z tzw. Państwa Islamskiego.

Premier Czech ustępuje miejsca

To moje miejsce! – powiedziała kobieta i na dowód podsunęła siedzącemu mężczyźnie pod nos bilet. Rzeczywiście: miała ważny bilet na pokaz filmu „Teoria tygrysa”, a jej fotel zajmował tysy mężczyzna w średnim wieku. Ten chwilę pomyślał, wymienił spojrzenia z żoną, wstał i przepraszając, ustąpił miejsca, które bezprawnie zajmował. Mężczyzną tym był premier Republiki Czeskiej Bohuslav Sobotka. Rzecz dzieła się na jednym z pokazów Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Karlowych Warach. Prawowita właścicielka Sobotkę rozpoznała, ale bez wahania zażądała ustąpienia miejsca. Sytuacja się błyskawicznie wyjaśniła – błąd popełnili organizatorzy, po chwili znaleźli parze inne miejsca i seans się rozpoczął bez przeszkód. Zabawne qui pro quo zauważyli reporterzy. To najlepsza wiadomość o stanie naszego społeczeństwa i stanie demokracji w Czechach – skomentował redaktor naczelny tygodnika „Respekt” Erik Tabery, doceniając zarówno skromność premiera, jak i absolutną pewność siebie właścicielki biletu.



Kadyrow show, czyli nabór do rządu

Prezydent Czeczenii **Ramzan Kadyrow** najwyraźniej uważnie śledzi amerykańskie wybory, bo ogłosił właśnie, że organizuje reality show w stylu dawnego programu Donalda Trumpa, gdzie uczestnicy rywalizowali o stanowisko jego asystenta. W kaukaskiej wersji nagrodą będzie jednak stanowisko w miejscowym rządzie. Chętni mogą się zgłaszać do końca przyszłego tygodnia, a uczestnicy będą musieli przed kamerami zaprezentować nie tylko pomysły reform, które usprawniłyby funkcjonowanie górskiej republiki z mocnym przywódcą, ale również tężyznę fizyczną: w zwiastunie zaprezentowanym przez publiczną stację telewizyjną Rossija 1 Kadyrow boksuje z prezydentem telewizyjnym, któremu każe potem pokonywać tor przeszkód, komentując, że „jedynie najlepsi z najlepszych mogą współpracować z głową państwa”. Pretendentom warto jednak przypomnieć, że łaska prezydenta na pstrym koniu jeździ. Swego czasu, w podziękowaniu za częste lajki zdjęć na jego instagramowym koncie, mianował jednego z internautów ministrem ds. współpracy rządu ze społeczeństwem obywatelskim, ale już po niecałych dwóch miesiącach odwołał go z tej funkcji. Za słabo boksował?

Amerykańska kwestia napletka

Coraz rzadziej Amerykanie akceptują obrzezanie męskich potomków.

Ameryka, tak bliska obyczajowo i cywilizacyjnie, bardzo się różni od zachodniej Europy tym drobnym szczegółem: podejściem do obrzezania. Po tamtej stronie Atlantyku zabieg ten objął 80 proc. osób płci męskiej, po tej – ledwie kilka procent (w bratniej Wielkiej Brytanii – 3 proc.). Męskie obrzezanie robiło karierę pod koniec XIX w. jako zalecany przez lekarzy sposób w walce z masturbacją. Dziś zwolennicy przywołują względy higieniczne, bardziej niż religijne, ale amerykańskie sondaże pokazują, że głównie chodzi o kwestię mimikry: ponieważ znaczna większość chłopców jest obrzezana, rodzice nie chcą, aby ich dzieci się wyróżniały i były przedmiotem kpin. Obrzezanie, opłacane z ubezpieczenia zdrowotnego, proponowane jest w pakiecie noworodkom przed wyjściem ze szpitala. A ponieważ to duży rynek, ruch przeciw obrzezaniom zderzał się z lobby medycznym. Amerykańska Akademia Pediatria wydała salomonowy wyrok, że ze zdrowotnego punktu widzenia obrzezanie daje więcej korzyści, niż niesie zagrożenie, ale że w sumie różnice są nieistotne.

W Europie przeważają opinie negatywne, srogie jest tu zwłaszcza Królewskie Holenderskie Towarzystwo Medyczne. Ruch przeciwników, choćby



Protesty ruchu przeciwników obrzezania w Palm Beach na Florydzie

rosnąca w siłę Intact America, wskazuje na pogwałcenie nienaruszalności cielesnej dziecka, i uważa, że powinna to być decyzja podejmowana przez osoby pełnoletnie (jest w tej sprawie precedensowe rozstrzygnięcie sądu na Florydzie). Te argumenty powoli się przebijają, dziś już tylko co drugi amerykański mężczyzna noworodek traci napletek zaraz po urodzeniu – i trend jest wyraźny. Odpryskowy front poprawności politycznej?

Chiński AC Milan

Mattia De Sciglio co prawda razem z resztą włoskiej reprezentacji odpadł z Euro 2016 w ćwierćfinale w starciu z Niemcami, ale nie stracił na wartości w oczach inwestorów. Zaledwie cztery dni po feralnym meczu ogłoszono, że jego rodzimy klub AC Milan zostaje sprzedany Chińczykom przez byłego premiera Silvio Berlusconi. W dodatku kupcy z Chin zaledwie miesiąc wcześniej nabyli też drugą wielką drużynę z Mediolanu, Inter (w którego koszulce biega na co dzień Éder, zdobywca gola ze Szwecją, zapewniającego włoskiej reprezentacji wyjście z grupy). Do chińskich właścicieli należą też już brytyjskie kluby Aston Villa, Birmingham oraz (częściowo) Manchester City. Zarazem drużyny z Państwa Środka nie szczędzą gotówki na podkupowanie Europy zawodników (np. w styczniu Brazylijczyk Ramires przeszedł z Chelsea do Jiangsu Suning za 25 mln euro), a w kwietniu tamtejsza federacja ogłosiła, że stworzy w całym kraju 70 tys. orlików i wciągnie do gry miliony młodych.

To wszystko element większej strategii, w ramach której Chiny za 14 lat miałyby wygrać mistrzostwa świata w piłce nożnej – takie życzenie wyraził przewodniczący partii komunistycznej Xi Jinping, prywatnie zapalony kibic. Jak do tej pory chińska reprezentacja zakwalifikowała się jedynie na mundial w 2002 r., na którym przegrała wszystkie mecze grupowe, a w światowym rankingu FIFA zajmuje 81. miejsce.



Turniej tępych noży

Portugalia
mistrzem Europy!

To nieprawda, że wygrał antyfutbol. Wygrały minimalizm i mądra organizacja. Trzeba się do tego przyzwyczaić, bo mistrzowskie turnieje inne nie będą.

MARCIN PIĄTEK

Na koniec było déjà vu. Mistrzostwo Europy zdobył zespół, który ledwo wybrnął z grupy, a na fazę pucharową wymyślił się na nowo, perfekcyjnie opracowując taktykę wytrącania rywali z uderzenia. W czterech decydujących meczach stracił tylko jedną bramkę, a w finale pokonał rozpędzających się gospodarzy, będących faworytami. Droga Portugalii do tytułu wypisz wymaluj przypomina grecką z 2004 r. Można powiedzieć, że czas zatoczył koło, bo w tamtym finale pokonana została właśnie Portugalia, też wówczas gospodarz Euro. Jest nawet łącznik personalny – trener Fernando Santos został zatrudniony 6 lat temu przez grecką federację, by zapewnić tamtejszemu futbolowi względnie gładkie przebudzenie ze snów o potęgze, gdyż było jasne, że w przypadku Grecji mistrzowski patent sprawdził się tylko raz. I nawet mu się udawało, bo w kolejnych turniejach Grecja kończyła godnie.

W portugalskiej reprezentacji, w której od zawsze było za dużo generałów, a za mało szeregowych, Santos przywrócił właściwe proporcje. Inaczej mówiąc: przekonał generałów, że szeregowym trzeba pomagać. Inne proporcje, czyli prymat zespołu nad jednostką, przywróciły się w finale same, przez kontuzję Cristiano

Ronaldo. I przy całym współczuciu dla osobistego dramatu portugalskiego gwiazdora, dobrze, że na tytuł zapracowała drużyna, bo w czasach napastliwego promowania futbolowych idoli zdajemy się zapominać, że futbol jest grą zespołową.

Paradoks polega na tym, że po finale, w którym Cristiano był wielkim nieobecny, a koledzy poradzieli sobie bez niego, od razu mówiło się, że Złota Piłka, czyli trofeum, które jest jego obsesją, znów trafi do Ronaldo. Co nie zmienia faktu, że na tego typu turniejach gwiazdy nie błyszczą, ponieważ są wydrenowane sezonem ligowym. Zaś kreowanie nowych bohaterów idzie opornie, bo z założenia musi być nim napastnik, ewentualnie ofensywny pomocnik. Któż by tam sobie zawracał głowę przekonywaniem, że gra obrońcy też może być poezją.

Wielkie turnieje coraz rzadziej nadają piłkarskim karierom nowy impet. Już ostatni mundial, w Brazylii, zaledwie dla kilku piłkarzy był transferową trampoliną, ale ponieważ większość zakupów *last minute* okazała się niewypałem (na czele z Jamesem Rodriguezem, za którego Real Madryt zapłacił 75 mln euro), futbolowi księgowi przejrżeli na oczy. Racjonalnym punktem odniesienia, prawdziwym miernikiem wartości piłkarza, staje się sezon ligowy.

To dlatego wszystkie głośne transfery, również polskie – Krychowiak do Paris Saint Germain (za rekordowe w naszych warunkach 30 mln euro), Glik do Monaco, Rybus do Lyonu – zostały uzgodnione jeszcze przed mistrzostwami, a w trakcie turnieju już tylko dopinano szczegóły. I dlatego Piotr Zieliński, który nie może się odnaleźć w schematach trenera Nawalki, jest na piłkarskim rynku ceniony, bo błyszczał w poprzednim sezonie w przeciętnym Empoli.

Do czego więc potrzebne nam takie mistrzostwa, na których gwiazdy nie błyszczą, na meczach można usnąć z nudów, bo siły skierowane są przede wszystkim na defensywę, a w ataku schemat goni schemat. Jak to ujął jeden z angielskich dziennikarzy, obserwując w półfinale Niemcy-Francja sytuacyjną i pozycyjną przewagę Niemców, z której kompletnie nic nie wynikało: mistrzowie świata do perfekcji opanowali posługiwanie się tysiącem łyżek, podczas gdy jedyne, czego potrzebowali, to nóż. Tak też wyglądały mecze: noże były tępe. Pod względem liczby strzelonych bramek (2,1 na mecz) to najslabszy turniej od Euro 1996.

Wygląda na to, że Euro stało się ofiarą rozdętego do granic zdrowego rozsądku futbolu klubowego, potwora generującego obłędne zyski (łącznie przychody klubów z pięciu najsilniejszych europejskich lig w sezonie 2014/15 to 12 mld euro; prognozuję się, że w nadchodzącym sezonie wartość europejskiego rynku piłkarskiego sięgnie 25 mld). W gabinetach UEFA również dostrzeżono, że w futbolowym opakowaniu premium wszystko się sprzeda. Stąd nowa, pękata formuła mistrzostw, z 24 uczestnikami i wynikającą stąd szansą awansu do fazy pucharowej nawet z trzeciego miejsca w grupie, z czego m.in. skorzystała Portugalia (oj, będzie im to wypominane). Ta reforma została przykryta wzniosłymi hasłami o tym, że w futbolu potrzeba więcej egalitaryzmu (któż to mógł wymyślić, jak nie Francuz, a konkretnie Michel Platini, podczas Euro jednak schowany w swojej śródziemnomorskiej willi z powodu skazania na kilkuletnią banicję z futbolowych urzędów), bo kibicom, niemającym na co dzień styczności ze swoimi futbolowymi bohaterami rozpierchniętymi po zawodowych ligach, trzeba dać szansę zobaczenia ich na własne oczy na wielkiej scenie.

Należy więc zapytać kibiców ukraińskich, rumuńskich albo szwedzkich (przynajmniej tych, którym w dotarciu do Francji nie przeszkodził strajk francuskich pilotów), czy z ich punktu widzenia warto było się na Euro fatygować, by potem przelikać żal i rozczarowanie po grze swojej narodowej drużyny oraz przeklinać złudzenia, bo każdy z uczestników turnieju mocno uwierzył w wyświechtaną formułkę, że w Europie nie ma słabych drużyn. Jednak są, a tak się złożyło, że na Euro poza Rosją (czy to przypadek, że sborna grała fatalnie akurat w czasach odcięcia tamtejszych sportowców od dopingu?) słabe wrażenie zostawiły te zespoły, których bez reformy by na turnieju nie było, bo zajęły w eliminacjach trzecie miejsca w grupach: Ukraina, Szwecja, Irlandia.

Euro jest jednak wciąż niepodrabialne, jeśli chodzi o ilość i jakość wywoływanych emocji. Tylko na wielkich turniejach można zobaczyć płaczących piłkarzy, co jednak świadczy o tym, że liczą się dla nich nie tylko pieniądze. I tylko na tego typu imprezach futbol staje się pretekstem do przeglądania się w społecznym lustrze. Gdy Francuzi sześć lat temu żegnali się z mundialem w RPA – sklóćeni, podzieleni, epatujący egoizmem i złymi manierami – tamtejsi socjologowie uważali, że nie ma się czemu dziwić, bo francuskie społeczeństwo też się „psuje”, a duch przykładowej integracji, której emanacją była drużyna mistrzów świata z 1998 r., bezpowrotnie uleciał. Niemcy twierdzili, że nigdy nie narodziliby

się jako reprezentacja na nowo i nie przyjmowaliby pielgrzymek od federacji szukających swojej drogi, gdyby nie towarzysząca im piłkarskiej rewolucji idea pracy u podstaw, bo przecież zbudowanie złotej drużyny z mistrzostw świata w Brazylii zajęło im 14 lat.

Sporo jest w tych komentarzach dorabiania ideologii do faktów, w ostateczności zawsze można odwołać się do waleczności, ambicji oraz determinacji, w rzeczywistości tak samo uniwersalnych dla wszystkich, którzy braki jakościowe muszą nadrabiać poświęceniem: dla Islandii, Walii czy Polski.

W przypadku naszej reprezentacji miła odmiana polega na tym, że dziś, kiedy futbol stał się nauką ścisłą, a na wynik pracuje sztab analityków, wreszcie nadążamy. Polska piłka przez ostatnie dziesięciolecie uważana była za synonim zacofania. Nawet tak banalna, wydawało się, kwestia, jak odpowiednio przygotowanie fizyczne zawodników do turnieju, wykraczała poza możliwości naszych selekcjonerów. W połączeniu z prezentowaniem taktycznego bałaganu prowadziło to do smutnego wniosku, że w czasach kiedy w futbolu liczy się błyskotliwość, zostajemy w oślej ławce.

Teraz, jednym susem, doskoczyliśmy. Był to sus oczekiwany, biorąc pod uwagę niezłe eliminacje oraz, przede wszystkim, znaczące role, jakie większość zawodników z pierwszej jedenastki regularnie gra w dobrych albo bardzo dobrych europejskich klubach. Występ Polaków zrodził jednak pewien kłopot interpretacyjny. Bo to tylko ćwierćfinał czy aż ćwierćfinał? Z jednej

strony, pierwszy od mundialu 1986 r. awans do fazy pucharowej, a następnie zwycięstwo po karnych ze Szwajcarią wywołały wśród wygłodniałych kibiców zrozumiałą euforię, ale z drugiej – im więcej czasu upływało od ćwierćfinałowej porażki z Portugalią, tym bardziej rosło poczucie niedosytu.

Najwięksi optymiści nie mogli więc odżalować zmarnowanego przez Błaszczykowskiego rzutu karnego, gdyż oczyma wyobraźni widzieli Polskę w finale z Francuzami. Było w ich niezachwianym przekonaniu o tym, że półfinał z Walią był-

by formalnością, coś niesłychanie irytującego, gdyż w poprzednich meczach Polacy nie przekonywali. Jeśli wygrywali, to minimalnie. Nasze noże również były tępe, w większości spotkań to rywale mieli więcej okazji do zdobycia bramek. Racjonalna ocena reprezentacji stała się niemożliwa, bo euforia po zwycięstwie w rzutach karnych ze Szwajcarią przysłoniła faktyczne braki jakościowe tej drużyny (zwłaszcza pustkę wiejącą z ławki rezerwowych), a ćwierćfinał z góry został uznany za tak wielki sukces, że nawet nieszczęsnego Błaszczykowskiego nikt nie ośmielił się skrytykować.

Wytrącenie z błogostanu dość niespodziewanie przyszło z wewnątrz reprezentacji. Najpierw Robert Lewandowski dał do zrozumienia, że w ofensywie męczył się przez brak wsparcia, a następnie Grzegorz Krychowiak, najbardziej wyrazista postać tej reprezentacji, nazwał sprawę po imieniu: powiedział, że czuje się przegrany i gdyby nie programowa ostrożność, mogliśmy zdziałać więcej.

Trzeba jednak pamiętać, że w porównaniu z tym, gdzie byliśmy 4 lata temu, postęp jest olbrzymi. Wtedy byliśmy anonimowi i lekceważeni z powodu zacofanej reprezentacji oraz przasnego prezesa Grzegorza Laty, który nie był w stanie załatwić w zaciszach gabinetów żadnej istotnej sprawy. Dziś wkraczamy na piłkarskie salony wszystkimi drzwiami.

Tylko Cracovia przegrała oba mecze w eliminacjach rundy wstępnej europejskich pucharów z wicemistrzem Macedonii. Zapewniając w ten sposób wszystkim zachłyśniętym Euro łączność z ziemią. ■

Występ Polaków zrodził pewien kłopot interpretacyjny. Bo to tylko ćwierćfinał czy aż ćwierćfinał?